

There are no translations available.



Środowy poranek 8 kwietnia 2015 r. zastał mnie w skromnej hali odlotów rozbudowywanego właśnie lotniska w podkrakowskich Balicach.

Mimo wczesnej pory było tłoczno – wielu rodaków wracało właśnie do rozszaniowanych po świecie miejsc pracy po spędzeniu z rodzinami zakończonych niedawno Świąt Wielkanocnych.

Mój cel był jednak inny – choć z zaciskanych w dłoni kart pokładowych wynikało, że wyruszę w daleką drogę do wirginijskiego Lynchburga trasą prowadzącą przez Monachium i Charlotte w Północnej Karolinie, w rzeczywistości zaczynałem kolejną podróż w czasie, a moim celem był kwiecień roku 1865.

Śladem kolegów, którzy wyruszyli przez ocean kilka dni wcześniej, zmierzałem w stronę Appomattox – miejscowości położonej sto mil na zachód od stołecznego Richmond, małego

miasteczka dotkniętego dłonią Historii. Nasza wizyta była symbolicznym ukoronowaniem udziału w poprzednich imprezach rekonstrukcyjnych, mających uczcić 150. rocznicę amerykańskiej Wojny Między Stanami. Udawaliśmy się do miejsca uznawanego powszechnie, choć nie do końca zgodnie z prawdą historyczną, za miejsce, w którym zmagania te dobiegły końca. To tam przed 150 laty skapitulowała nie największa, lecz z pewnością najślawniejsza z armii walczących o niepodległość Skonfederowanych Stanów Ameryki – Armia Północnej Wirginii.

Lot przebiegł pomyślnie, a jego jedynym godnym zapamiętania epizodem był moment przekroczenia amerykańskiej granicy w Charlotte. Gdy – nieco już zmęczony dłuższym niż zazwyczaj lotem – podszedłem do urzędnika imigracyjnego, wyraźnie znudzonego mężczyzny po pięćdziesiątce, po zdawkowej wymianie uprzejmości odpowiedziałem na standardowe pytania: jaki jest mój zawód, ile wwożę gotówki, wreszcie na ostatnie z serii – o cel wizyty. W trakcie słuchania mojej odpowiedzi obojętność zniknęła z twarzy mężczyzny, który wyprostował się i z wyraźnym przejęciem stwierdził: „Sir, jako Amerykanin i Południowiec jestem dumny, mogąc jako pierwszy powitać pana na naszej ziemi!”.

Radosnego nastroju nie zdołało mi popsuć nawet odwołanie mojego lotu do Lynchburga. Szczęście nie opuściło mnie całkowicie – po około trzech godzinach oczekiwania znalazłem się na pokładzie ostatniego tego dnia samolotu lecącego tą trasą. Nieco niepokoju budziła jedynie informacja czynnej pracownicy American Airlines, która pomogła mi w zmianie rezerwacji – przyczyną odwołania poprzedniego połączenia była potężna burza, która szalała właśnie nad Lynchburgiem. Po wylądowaniu przekonałem się, że choć deszcz już ustał, liczne i wielkie kałuże świadczą o skali zjawiska. Pozostała jedynie nadzieja, że w odległym o 15 mil Appomattox sytuacja wygląda nieco lepiej.

Po nocy spędzonej w hotelu udałem się do miejscowego biura informacji turystycznej. Napotkane tam dwie starsze damy, rozpluwając się w zachwytach nad determinacją dziwaka przybyłego „z samej Europy”, by wziąć udział w rekonstrukcji, którą żyło kilka okolicznych hrabstw, zasypały mnie wręcz ulotkami i przydatnymi (w większości) informacjami na temat imprezy oraz skierowały na nieodległy przystanek, na którym zatrzymywały się odjeżdżające co kwadrans autobusy do Appomattox. Skorzystałem z okazji i ostatni etap podróży odbyłem w niemal pustym pojeździe, konwersując po niemiecku z kierowcą – z pochodzenia Niemką, która przybyła do Stanów w wieku pięciu lat. Choć sama często wtrącała do rozmowy angielskie zwroty, była zachwycona pogawędką, gdyż, jak stwierdziła: „My, Europejczycy, tak rzadko mamy tu okazję, by porozmawiać we własnym gronie...”.

Gdy w jakiś czas później dotarłem do obozu, przekonałem się, że Matka Natura nie była poprzedniego dnia łaskawa również dla Appomattox. Wezbrany w trakcie ulewy strumyk zerwał mostek prowadzący na parking dla rekonstruktorów, w wyniku czego już do końca imprezy samochody stały na obrzeżach samego obozu, psując nieco klimat i wydatnie zmniejszając szansę na zrobienie klimatycznych zdjęć.



Jednak nastrój poprawił się natychmiast po odnalezieniu goszczącej nas tym razem kompanii D 51 Pułku Piechoty z Wirginii. W jej szeregach napotkałem znanego nam jeszcze spod Gettysburga Skipa Fletchera, kapitana kompanii K 7 Pułku z Florydy, tym razem występującego jako prosty szeregowiec gdyż, jak często powtarzał, „szeregowcy mają całą frajdę”. Spotkałem też znajomych znad Chickamaugi, Kena i Bartholomew, którzy i tym razem łączyli mistrzowskie władanie patelnią i kociołkiem ze znakomitym posługiwaniem się karabinem. Także nowi znajomi, a wśród nich świetnie grający na bandžo dowódca oraz Travis, niezwykle serdeczny pięćdziesięciolatek, który pojawił się w obozie wraz z dziewiętnastoletnim synem Isaakiem i dwiema córkami, sprawiali bardzo sympatyczne wrażenie.

Po kilku godzinach do obozu dotarł Smednir, zaś następnego, piątkowego poranka dołączył do nas Brat Szary. Godziny szybko mijały na pogawędkach, wizytach u sutlerów i doraźnych interwencjach polegających na wypychaniu z głębokiego błota samochodów próbujących wydostać się z obozu jedyną, grząską drogą. Po kilku godzinach organizatorzy ściągnęli na miejsce małe ciągniki, które przejęły na siebie to zadanie, my zaś rozpoczęliśmy przygotowania do popołudniowej potyczki pod Appomattox Station.

Dla nas była to okazja do zastosowania po raz pierwszy w praktyce zasad musztry opisanych w podręczniku Gilhama, którym nasi gospodarze zastępują bardziej popularnego Hardee'go. Mimo stosunkowo krótkich przedpołudniowych ćwiczeń poradziłem sobie niezle, unikając licznych pułapek, takich jak dwie różne postawy *ready* oraz dwa odmienne sposoby ładowania broni w pozycji stojącej. Z uwagi na specyfikę imprezy sporo czasu poświęciłem na ćwiczenia w układaniu broni w kozły, ale okazja do pochwalenia się tymi umiejętnościami miała nadejść dopiero za dwa dni.

Wreszcie padły rozkazy do zbiórki i bataliony konfederackiej piechoty zgromadziły się w dwuszeregu wzdłuż błotnistej drogi. Marsz na pole walki nie trwał długo – teren starcia leżał pół mili od obozu. Na miejscu rozciągnięto nas w tyralierę i ustawiono naprzeciw położonego w dolinie budynku stacji, wyposażonego nawet w wykonany z dykty model parowozu. Przy samej stacji formowały się wyjątkowo nieliczne oddziały federalnej piechoty i spieszony kawalerii. Padły pierwsze strzały. Konfederacka tyraliera, wsparta w centrum przez zwarte szyki drugiego batalionu, to się zbliżała, to odsuwała od budynku stacji. Po chwili Jankesi otrzymali posiłki i poczęli powoli spychać nas na szczyt wzgórza. Obie strony robiły, co mogły, by odtworzyć historyczny przebieg starcia, wyglądało to jednak niezbyt wiarygodnie z racji bodaj czterokrotnej przewagi liczebnej Południowców. Kolejnego dnia proporcje sił miały się nieco wyrównać, jednak w piątkowy wieczór trudno było niekiedy ukryć zażenowanie.









Shinle, Virginia, 1865. A pair of worn, brown leather shoes with metal studs on the soles, likely remnants of a military boot sole. The shoes are being held by a person in a light blue shirt. The background shows a white tent or canopy structure.



